

H. B. Fyfe

# Układ satelitarny

## (Satellite System)

Analog Science Fact -> Fiction, October 1960  
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "Satellite System" by Horace B. Fyfe, published by Project Gutenberg, September 14, 2009 [EBook #29990].

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Analog Science Fact & Fiction October 1960. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:  
[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB\\_kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate)

**P**o odpięciu przytrzymujących go w koi pasków, George Tremont uniósł się do góry i zawisł w powietrzu. Przesunął językiem po wargach i wykrzywił się.

— Zastanawiam się, jak długo spałem... czuję się, jakby było to za długo — wymamrotał pod nosem. — No cóż, powinni mnie zawołać.

Jego „kabina” była dziewięćdziesięciostopniowym wyciętym z cylindra klinem, o wysokości zaledwie ośmiu stóp. Z jednego końca jej zewnętrznego łuku, do drugiego, było tylko nieco ponad dziesięć stóp, tak więc żeby podwieszana z przodu koja o rozmiarach trzy na siedem, pasowała do boków klina, trzeba było ściąć jej dwa rogi. Szafki wypełniały łuk za koją.

Tremont wmanewrował się w pozycji pionowej w osiemnastocalową przerwę między koją, a płaską ścianką, która odcinała wierzchołek klina. Sięgnął ręką i wyciągnął z jednej z szafek ręcznik i golarkę, a następnie ostrożnie złożył koję do góry i zahaczył bezpiecznie w tej pozycji.

Miał teraz wystarczająco dużo miejsca, żeby się przekręcić, odwrócił się więc i rozsunął podwójne drzwi w płaskiej ścianie, wychodzące na szyb o powierzchni trzech stóp kwadratowych, którego środek stanowił jednocześnie teoretyczny punkt przecięcia ścian kabiny. Tremont wciągnął się do szybu. Z ze znajdującej się w stronę przodu statku „góry”, przez częściowo otwarty wąż, do szybu wlewało się światło i słyszał dobiegający stamtąd szmer głosów. Sam zanurkował w przeciwnym kierunku.

— Co najmniej dwójka z nich jest na górze — chrząknął.

Zastanawiał się, czy któraś z pozostałych trzech kabin była zajęta, jednocześnie przeciągając się po kolejnych szczeblach drabinki, przyspawanej w jednym z rogów szybu. Dotarł do nieco szerszej części rufowej mogącej się poszczycić wejściami do dwu śluz powietrznych, szafką na skafandry kosmiczne, kambuzem i toaletą. Wszedł do tej ostatniej, zauważając szmer pracującej klimatyzacji, po drugiej stronie grodzi.

Tremont zaczepił stopę w uchwycie i zawisł nieruchomo, spoglądając w lustro. Włączył golarkę do gniazdko, uruchomił wyciąg w szczeliny pod lustrem, żeby resztki ściętych włosów nie wpadły mu w oczy, i zaczął się golić. W miarę jak znikła broda, zastanawiał się nad interesami, które przyleciał załatwić na Centauri.

— Zabawna sprawa! — powiedział do swego odbicia. — Handlować pomysłami! Czy można tak naprawdę sprzedać ludzkie myśli?

Dochodząc do podbródka, uznał że to właściwie było całkiem praktyczne. Pomysły, prawdę mówiąc, były niemalże jedynymi towarami importowymi, które warto było sprowadzać z Sol na Alfę Centauri. Dostawy na dużą skalę, niezbędnych towarów, realizowane były przez Sfederowane Rządy. Transport nawet najcenniejszych metali na Ziemię, czy też w drugą stronę jakiegokolwiek rodzaju najbardziej luksusowych wyrobów przemysłowych, kosztował po prostu zbyt wiele pieniędzy, paliwa, wysiłku i czasu.

Z drugiej strony, podróż na Ziemię, aby kupić plany i licencje na najnowsze wynalazki lub procesy – to się opłacało, na tyle przynajmniej by zapewnić dostatnie życie wielu ludziom działającym w biznesie Tremonda. Potrzebował tylko dużej liczby wiarygodnych kontraktów oraz dobrej orientacji w potrzebach trzech planet i czterech satelitów skolonizowanych w układzie Centauri.

Zaledwie trzy dni temu Tremont wrócił ze swej najnowszej podróży do starej gwiazdy, lądując w wielkim statku międzygwiazdowym na zewnętrznym księżycu Centauri VII. Tam wynajął niewielką rakietę – *Annabel*, zarejestrowanej bardziej oficjalnie jako AC7-4-525 – żeby dokonać lokalnego przelotu. Musiało minąć jeszcze kolejne pięć dni, zanim dotrze do zamieszkałych księżyców Centauri VI.

Po wyjściu z łazienki zatrzymał się w kambuzie, na szybkie śniadanie z tubek, z żalem wspominając wygody na statku międzygwiazdowym, a następnie odniósł golarkę i ręcznik do kabiny. Uznał, że nieco wygnieciona koszula i luźne spodnie w kolorze utilitarnej szarości, mogą jeszcze posłużyć przez kolejny dzień. Trzydziestoośmioletni, mierzący cal czy dwa poniżej sześciu stóp, umięśniony lecz szczupły Tremont, sprawiał wrażenie pedantycznej schludności. Ciemne włosy, rzednące nieco na skroniach, nosił krótko obcięte i zaczesane do tyłu. W kącikach jego niebieskich oczu widoczne były zmarszczki po uśmiechu, schodzące na szczupłe policzki.

Zamknął drzwi kabiny i przeciągnął się do przodu, aby wejść przez częściowo otwarty właz do pomieszczenia sterówki. Przedni przedział dawał nie więcej miejsca, niż było w kabynie, ale wydawało się, że jest tu więcej przestrzeni do oddychania, ponieważ to pomieszczenie nie było podzielone na cztery. Powierzchnia na tym pokładzie była jednak tak cenna dla potrzeb urządzeń sterowniczych, leżanek antyprzeciążeniowych i wyposażenia astrogacyjnego, że największym pustym obszarem było miejsce nad włazem.

Kiedy Tremont pojawił się we włazie, dwaj mężczyźni i dziewczyna zwrócili na niego zaskoczone spojrzenia. Jeden z mężczyzn, mniej więcej czterdziestopięcioletni, ale sportowo i młodzieżowo ubrany, co pasowało do jego krótkich blond włosów i opalonej twarzy, rzucił szybko okiem na swój zegarek na ręce.

— Czyżbym za wcześnie się pojawił? — zaczął się dopytywać Tremont z nagłym chłodem w głosie. — Co państwo tutaj robią z moją walizką?

Dziewczyna, nieco po dwudziestce, o wystudiowanej urodzie, z długimi czarnymi włosami w kosmosie schludnie związanymi w siatkę, szybko odsunęła swą małą dłoń od stalowej kasety, o kształcie pasującym do wnętrza aktówki. Drugi z mężczyzn, poniżej trzydziestki, ale o grubym brzuchu, w szarym podkoszulku, zawołał w następnej chwili:

— Brać go!

Tremont za późno zauważył, że mówca zaparł się wcześniej stopą o przeciwległą gródź. Potem szeroka twarz z krzywym hakiem nosa nad idiotycznymi małymi wąsikami, strzeliła przez pomieszczenie w jego stronę. Tremont rozpaczliwie próbował namacać jakiś uchwyt, który pozwoliłby mu uniknąć tego ataku, oraz jednocześnie wypchnąć się z powrotem do szybu, ale został złapany w pół drogi.

Przyjął pędzącego napastnika uderzeniem pięści, lecz płatanina ciała jaka powstała wokół niego natychmiast skłębiła się nie do uwierzenia, ponieważ pozostała dwójka przyłączyła się do ataku.

Coś uderzyło z trzaskiem w tył jego głowy, zdecydowanie za mocno, aby można było to uznać za przypadek.

Kiedy Tremont zaczął ponownie funkcjonować, potrzebował zaledwie paru sekund, żeby zorientować się, iż życie przez krótką chwilę toczyło się bez niego.

Po pierwsze, krew leżąca z nosa tęgiego mężczyzny została już zatamowana, a on sam czule szczyty koniuszkiem palca krew ze swych wąsów.

Po drugie, udało im się zapakować Tremonta w skafander kosmiczny i zaciągnęli go na dół szybu, do śluzy powietrznej. Ktoś związał razem kciuki rękawic i przywiązał sznur do uprząży podtrzymującej zbiornik powietrza.

Tremont okręcił głowę, by przyjrzeć się całej trójce, nic nie mówiąc. Próbował stwierdzić, w którym miejscu popełnił błąd.

Bill Braigh, podstarzały młodzieniec z krótko obciętymi włosami? Ralph Peters, pilot, który trafił mu się razem ze statkiem? Dorothy Stauber, elegancka brunetka, która leciała razem z nim z Ziemi na tym samym statku? Nie mógł się zdecydować, nie mając więcej informacji, na której mógłby się oprzeć.

Wtedy przypomniał sobie, z niepokojącym uczuciem, że wszyscy oni byli razem wokół jego walizki z papierami i mikrofilmami, kiedy im przerwał.

— Mam nadzieję, że nie myślisz o sprawianiu nam jakichś kłopotów, Tremont — wycedził Braigh. — Daj sobie z tym spokój; nie byłeś dla nas żadnym problemem.

— Jak myślisz, dokąd to was doprowadzi? — dopytywał się Tremont.

Braigh zachichotał.

— Do tego samego miejsca, co ciebie — stwierdził. — Tylko przy mniejszych kosztach.

— Spytaj go o kombinację — warknął Peters.

Braigh przeanalizował wyraz twarzy Tremonta.

— To pewnie zabrałoby nam dłuższą chwilę, Ralph — uznał z żalem w głosie. — Łatwiej będzie wyrzucić go od razu na zewnątrz i w spokoju użyć do kasetki odpowiednich narzędzi.

Tremont otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Braigh zatrzaskał mu na głowie hełm i szybko go przykręcił.

— Nigdy nie uda wam się złamać szyfru! — wrzasnął Tremont walcząc by się uwolnić. — Te papiery na nic wam się nie przydadzą, beze mnie!

Ktoś rzucił nim o gródź, przytrzymując go przy niej, twarzą do ściany. Nie mógł nic zrobić, z rękoma związanymi w taki sposób jak były, a nogami mógł działać bardzo niewiele. Zaświtało mu w głowie, że oni nie słyszą nawet słowa z tego co mówi, a więc umilkł. Wykręcając głowę, aby zerknąć poza siebie, pochwycił tylko przelotny widok zakładającego skafander Petersa.

W parę chwil później, jego prześladowcy otworzyli wewnętrzny właz śluzy powietrznej i wepchnęli Tremonta do środka. Peters wszedł za nim, trzymając go mocno od tyłu za kolana.

— No to, gotowe! — chrząknął Peters i Tremont zdał sobie sprawę z tego, że ponownie mógł się z nimi komunikować, korzystając z radia w skafandrze.

— Nie uda wam się daleko zajść, próbując złamać kod, w którym zapisałem te papiery — ostrzegł ich. — Lepiej omówmy to, zanim popełnicie błąd.

— Nie ma mowy o żadnym błędzie — oznajmił Peters, pchając Tremonta w stronę włazu. — Powiedzmy, że było tak: wynająłeś raketę. Czułeś się odpowiedzialny, aby wyjść na zewnątrz i sprawdzić ciężkie cząsteczki pyłu, uderzające w kadłub. Odpłynąłeś w kosmos, a nam nie udało się ciebie odnaleźć.

— A jak wyjaśnisz to, że sam nie wyszedłeś? Albo to, że nie znalazłeś mnie przy pomocy przyrządów?

Peters strącił nogę Tremonta, z półki na zbiorniki, o którą tamten zahaczył się czubkami palców.

— A jakże ja mógłbym wyjść? Zostawiając statek bez pilota? A ekrany służą do wykrywania meteorów na dużych odległościach, biorąc pod uwagę prędkości z jakimi one się poruszają. A więc, ty byłeś za blisko, żeby cię zarejestrowały, a przynajmniej do czasu, kiedy nie było już dużo za późno. Musiałeś się udusić, kiedy skończyło ci się powietrze.

Tremont szukał po omacku nogami, próbując znaleźć jakiegoś rodzaju uchwyt. Zewnętrzny właz zaczął się otwierać. Widać już było gwiazdy na zewnątrz statku.

— Zaczekaj! — krzyknął Tremont.

Było już za późno. Poczul jak coś wyrzuci go do przodu, jak gdyby Peters przysunął mu stopę do pleców i popchnął nią. Tremont próbował jeszcze złapać krawędź włazu śluzy, ale umknęła mu ona. Podmuch powietrza zamarzył wokół niego, ludzkiego pocisku.

**G**wiazdy powoli obracały mu się przed oczyma. Po chwili w jego pole widzenia wpłynął błyszczący kadłub *Annabel*. Był już trzydzieści stóp od niego, a właz śluzy powietrznej się zamykał. Dostrzegł jeszcze postać w skafandrze kosmicznym na tle świecącego za nią światła.

Po chwili znowu spoglądał na gwiazdy.

Mała, odległa, jaskrawa Alfa Centauri, zmusiła go do zmrużenia powiek na ułamek sekundy, zanim komórki fotoelektryczne spowodowały opuszczenie mu przed oczyma filtrów. Następnie ponownie widać było tylko gwiazdy, a filtry odsunęły się.

— Oni nie mogą tego zrobić! — powiedział Tremont. — Peters! Czy mnie słyszysz? Nie uda wam się uniknąć za to kary!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Znowu w polu widzenia znalazła się rakietka, teraz już znajdująca się wyraźnie dalej. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby na nią wrócić. Pomimo

sposobu w jaki związano mu ręce, próbował sprawdzić wyposażenie przy pasie. Odsunięcie rąk najdalej jak to było możliwe, nie wystarczyło by z wnętrza hełmu mógł popatrzeć na uprząż.

Pociągnął gwałtownie za sznur wiążący razem palce jego rękawic, i wydawało mu się, że trochę się on poddał.

„Może tylko mocniej się zacisnął” — pomyślał.

Aby oswobodzić dłonie, wciągnął ręce do środka skafandra przez szerokie otwory rękawów, ale to umożliwiałoby noszącemu co najwyżej zjedzenie czegoś, otarcie czoła, czy też poprawienie ubrania lub ogrzewania. Poczł się wygodniej, jednak nic mu to nie dało, poza możliwością sprawdzenia czasu na zegarku naręcznym.

Ustawiony był on na czas księżycowy Centauri VII-4, i dowiedział się z niego, że kiedy pięć minut temu opuścił służbę powietrzną, była godzina 17:36. Nie wydało się to Tremontowi jakąś bardzo użyteczną informacją – co najwyżej uprzedziło go tylko, że kiedy zacznie odczuwać brak powietrza, będzie około godziny 21:30. Z tęsknotą pomyślał o scyzoryku.

— Jest pewna sprawa, o którą mam zamiar zapytać przy okazji mojej następnej podróży na Sol – jeśli taka będzie miała miejsce! — wymamrotał. — Czy ktoś kiedyś wynalazł godną zaufania, małą służbę do skafandra, tak żeby można było przekładać przez nią rzeczy z kieszeni?

Wsunął ponownie ręce w rękawy skafandra, i obmacał swój pas tak daleko, jak tylko mógł się wykręcić. Udało mu się sięgnąć aż do miejsca w którym zwykle wisiał standardowy pistolet odrzutowy. Haczyk był jednak pusty.

— No tak, i to by było na tyle! — wyjęczał. — Nie zapomnieli. Nie mam żadnych możliwości manewrowania.

Zadumał się z troską. Może powietrze – jeśli ośmieli się poświęcić choćby odrobinę, dałoby niewielki ciąg. Powolny, ale przecież miał do dyspozycji całą resztę swego życia!

Zabrał się do obmacywania sznura wokół kciuków, czubkami pozostałych palców rękawic. Niewykluczone, że z czasem dałoby się osłabić go tak, by możliwe było jego zerwanie.

Gwiazdy wędrowały powoli przez jego pole widzenia, kiedy leciał obracając się, przez kosmiczną próżnię. Dwa lub trzy kawałki sznura oderwały się i podryfowały w dal. Tremont zdał sobie sprawę, że sznur jest zmrożony i zrobił się kruchy. Podwoił swe wysiłki. Po paru minutach niezdarnego skrobania czubkami palców o kciuki, zebrał siły i szarpnął dłońmi w przeciwne strony.

Sznur zerwał się i ręce poleciały mu na boki tak nagle, że aż poczuł jak coś mu strzyknęło w kręgosłupie. Przez chwilę zamarł bez ruchu w środku skafandra, zastanawiając się, czy sam nie zrobił sobie jakiejś krzywdy.

Oprzytomniał i zaczął się obmacywać, sprawdzając swój sprzęt. Odkrył, że nie pozostawiono mu niczego. Nie miał żadnego noża, czy pistoletu odrzutowego, ani liny z magnesem, którą mógłby uczeplić się do kadłuba.

„No cóż, teraz przynajmniej dam radę sięgnąć do zaworów zbiorników powietrza” — podniósł sam siebie na duchu.

Zaczął wypatrywać statku, tak jakby chciał ocenić kierunek w którym powinien zmierzać. Minęło kilka minut, zanim pozwolił by dotarła do niego cała prawda o sytuacji: nie widział już nigdzie rozbłysku światła Alfy Centauri na kadłubie!

Znalazł się już za daleko od statku, aby ośmielił się marnować powietrze. Mógłby zrezygnować z ostatnich godzin swego życia, tylko po to by polecieć w niewłaściwym kierunku,

— Jak ja mogłem władować się w coś takiego? — zajęczał.

**Z**musił się do powrotu myślami do swoich spotkań z tamtymi. Dorothy Stauber wysiadła z tego samego statku co i on. Lecieli razem z Sol, ale jakoś nie spotkali się podczas podróży, chyba że któregoś dnia, przelotnie. Zdaje się, że przypominał sobie, jak odezwała się do niego w kopule Celnej, pytając o jakąś poradę w sprawie dalszego lotu.

— Taa...ak! — warknął sam do siebie. — Po tym, kiedy zadzwoniłem, żeby wynająć raketę. Musiała o tym wiedzieć, ale jakim cudem?

Ktoś w biurze transportowym? Zaraz, a dlaczego nie sam Peters, pilot? A potem napatoczył się Braigh, udając że wraca właśnie do domu, na Centauri VI i chciałby z powodów biznesowych wykupić jakiś szybki przelot na małym statku. Sprawiał wrażenie chętnego do wydania sporych pieniędzy, prowadząc Tremonta jak po sznurku do pomysłu obciążenia swych wydatków za czarter.

Wydawało się przy tym, że cała trójka przed startem *Annabel* nigdy wcześniej się nie spotkała.

— Ale musieli się już znać, to pewne! — powiedział sobie w duchu Tremont. — Nie ma innej możliwości, przy takim biegu rzeczy. Zostałem elegancko wpuszczony w maliny!

Dziewczyna musiała go śledzić, żeby byli pewni, że wybrali właściwego człowieka. Braigh nigdy dokładnie nie powiedział, co robił na satelicie; mógł więc zaaranżować wysłanie odpowiedniej rakiety, a może także pilota, kiedy Tremont po nią zadzwonił. Potem już tylko zgromadzili się wokół niego jako dodatkowi pasażerowie, i od tej chwili przejęli pełną kontrolę.

Tremont popatrzył na powoli przesuujące się mu przed oczyma konstelacje i przeklął swoją głupotę. Zaczął nabierać coraz silniejszego poczucia, że nie ma już żadnej drogi wyjścia z obecnej sytuacji. Jeszcze pożałują takiego bezmyślnego wyrzucenia go w kosmos, wspomniał ze złością, kiedy otworzą jego walizkę. Ale wtedy będzie już za późno, przynajmniej jeśli chodzi o niego.

„Jeśli już tak o tym pomyśleć — zastanowił się, — ten Braigh wygląda na całkiem cwanego, pod tą pozą infantylnego idioty. Z czasem może mu się udać złamać mój kod. A te części materiałów złożone z fotografii modeli czy też rysunków może sprzedać niemalże tak jak są”.

Kiedy przemyślał sprawę dokładnie, Tremont był zaskoczony, że nikt wcześniej nie próbował tego rodzaju rabunku. Na to, co ci złodzieje mu wykradli, wyłożył całą fortunę.

Ponownie wyciągnął lewą rękę z rękawa skafandra i przysunął nadgarstek do szyi hełmu. Patrząc w dół wzdłuż twarzy, stwierdził ku swemu zaskoczeniu, że był w kosmosie już niemalże od godziny. Stracił więcej czasu niż myślał na rozpamiętywanie wcześniejszych spotkań z Dorothy na pokładzie statku z Ziemi, oraz z innymi w porcie kosmicznym.

Wsunął rurkę z wodą do ust i pociągnął pełen haust. Jej smak był nieco zatęchły.

„Co ja bym dał za piwo, skoro mam już tutaj umierać” — pomyślał. — „Niech diabli wezmą te wszystkie dowcipy o umieraniu w łóżku po podróży międzygwiazdnej; ale człowiek napiłby się piwa, nawet gdyby miało go to kosztować życie”.

Stopniowo zaświtało mu, że jedno z zamglonych światełek, które wcześniej uznał za mgławicę, musi znajdować się gdzieś bliżej. Zaczął mu się przyglądać i po kilku chwilach odkrył że robi się ono coraz jaśniejsze. Trwało to tak przez pół godziny.

— To może być jakiś inny statek! — stwierdził z zapartym tchem, a potem zaczął krzyczeć przez swoje radio: — Mayday! Mayday!

Wzywał pomocy przez niemal kwadrans, nawet kiedy jasny zarys dał się już wyraźnie rozpoznać jako rakieta. Stwierdził, że przedryfuje w poprzek jej kursu, niedaleko dziobu. Trudno było ocenić odległość, ale oszacował, że powinna była ona wynosić mniej więcej koło stu jardów.

„Przedryfuję?” — zapytał się. — „Powinni przemknąć koło mnie jak pędząca gwiazda! Chyba że oni również lecą po tej samej krzywej z Centauri VII...”

Wtedy zdołał odczytać oznaczenie, którego obawiał się ujrzeć. AC7-4-525. Jego własny statek.

Z włazu śluzy powietrznej wypchnęła go głównie siła podmuchu powietrza, dodatkowo przy pewnej niezdarnej pomocy Petersa. Wystarczyło to, żeby wyrzucić go poza zasięg widoczności statku – w kosmosie niekoniecznie było to jakoś bardzo daleko – a teraz, po dwóch godzinach, wracał do punktu wyjścia.

„Długa, płaska orbita względem statku” — powiedział do siebie w myśli, przypomniawszy sobie na czas, aby nie mówić tego na głos, ponieważ Braigh może czuwać przy aparacie radiowym statku, — „ale w rzeczywistości wije się wokół jego kursu, zahaczając o niego lekko na tym końcu”.

Wciągnął rękę do skafandra i wyłączył radio. Jeśli znalazłby jakieś rozwiązanie sytuacji, byłoby fatalnie, gdyby ktoś podsłuchiwał go jak o nim mamrocze.

**S**tatek wydawał się teraz pędzić prosto na niego i Tremont domyślił się, że jego prędkość orbitalna wzrosła, kiedy zbliżał się do ogniska orbity którym była *Annabel*. Bez wątplenia przeleci koło włazu śluzy w tempie zbliżonym do szybkości z jaką stamtąd wyleciał.

— Jest tu pewna szansa! — ucieszył się. — Trzeba tylko wypuścić odrobinę powietrza, żeby ciut-ciut zwolnić... albo nawet trochę zboczyć z



kursu, i dosięgnąć czegoś ręką! Wyrzuciłeś mnie ze statku, Peters, ale nie udało ci się mnie pozbyć!

Dostanie się do środka przez służę, powinno być dosyć łatwe. Może udać mu się wdrzeć całkiem wysoko wzdłuż szybu, zanim tamci w ogóle wygramolą się ze sterówki. A nawet, jeśli Peters nie zostawił kogoś na straży, mignięcie sygnału na pulpicie, wskazujące na otwarcie służy powietrznej, może w ogóle przejść niezauważone.

— A ja porozwalam im łby zanim w ogóle zorientują się, co się dzieje! — warknął zawzięcie.

Z ironicznym rozbawieniem stwierdził, że kiedy myślał, iż jest skazany na śmierć, nie czuł nawet połowy tej nienawiści do nich, co teraz. Po dwóch godzinach wypacania z siebie w nerwach przepelniającej go bezradności, odkrył w sobie pokłady żywego oburzenia na brutalną bezduszną, z jaką został wyrzucony za burtę.

Obecnie znajdował się już tylko jakieś dwadzieścia pięć jardów od statku, pozornie zakreślając wokół niego okrąg. Kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że tak naprawdę skręcał prosto w jego stronę.

„Teraz trzymaj już w pogotowiu rękę na zaworze zbiornika powietrza, tak na wszelki wypadek!” — ostrzegł sam siebie.

Po prawej stronie wyłoniły się wielkie płetwy, a statek zasłonił mu większą część nieba. Wyglądało, jakby schodził po krzywej w miejsce tuż koło służy powietrznej, z której został wyrzucony. Zdawało się, że ciągle była otwarta.

Potem zobaczył jakby kawałek hełmu wyłaniającego się spoza krzywizny statku. Ktoś był na kadłubie.

Tremont włączył radio i zaczął nasłuchiwać.

Postać w skafandrze kosmicznym była już w pełni widoczna. Wydawała się być przypięta do liny, biegnącej od pasa do wnętrza służy, i trzymać w ręku coś w rodzaju długiego drażka.

— Och, tu jesteś Tremont! — doleciał do niego z odbiornika głos Braigha. — Czekałem na ciebie!

Chichot towarzyszący temu zdaniu, doprowadził Tremonta do przekleństwa, które z kolei wywołało serdeczny śmiech jego rozmówcy.

— Chyba nie myślałeś, że o tobie zapomnimy? — spytał Braigh. — Domyśliliśmy się co się stało, zaraz jak tylko usłyszeliśmy te twoje wrzaski o pomoc. Potem, to już była tylko kwestia odpowiedniej chwili. Czy miałeś ciekawą podróż?

— Zorientowaliście się już, że moje papiery na nic wam się nie przydadzą? — zaripostował Tremont.

— Chodzi ci o ten szyfr? Może to zabrać trochę czasu, ale przecież mamy go mnóstwo... no, no, Tremont! Takie bezczelne gadanie donikąd cię nie doprowadzi.

Tremont dotarł do miejsca ponad głową swego rozmówcy, niemalże w zasięgu ręki. Wykręcił się w kilku ruchach, które zdradziły jego zamiar chwycenia się Braigha, czy czegokolwiek innego, solidnie przymocowanego.

— Zaraz, Tremont! Ty chyba sobie pomyślałeś, że ja wyszedłem w kosmos, by dobić z tobą targu — zachichotał jasnowłosy mężczyzna. —

Kompletnie się mylisz! Mówiłem ci przecież, że ty nie jesteś dla nas żadnym problemem. Wyszedłem tylko po to, żeby dokończyć robotę, którą spaprał Peters.

Tremont zobaczył dźgający w górę, prosto w jego brzuch, drażnek. Instynktownie złapał za jego koniec. Braighowi to nie przeszkadzało.

— Możesz go ze sobą zabrać! — roześmiał się, puszczając swój koniec z silnym pchnięciem. — Kiedy następnym razem doleczysz tutaj po swoim kółku, poinformuj mnie, czy ciągle jeszcze żyjesz, to wtedy znowu wyjdę na zewnątrz.

Tremont zaczął go przeklinać, ale po chwili zdołał się na tyle wziąć w garść, by wyłączyć radio.

Zaczynał się właśnie podciągać po drażniku, kiedy Braigh go odepchnął. To wytłumiło nieco część działającej siły, ale pozostało jej na tyle dużo, że poleciał ponownie, wirując w niekontrolowany sposób, w przestrzeń kosmiczną.

Statek powoli oddalał się od niego. Widział jak Braigh wraca do śluzy powietrznej i wchodzi do środka. W chwilę później światło w jej wnętrzu zgasło i Tremont zaczął odlatywać w kosmos, tak samo jak to było za pierwszym razem.

„Oni wiedzą wszystko o tym, co się tu dzieje” — uświadomił sobie. — „W każdej chwili mogliby zostawić mnie w tyle, poświęcając jedynie odrobinę paliwa. Peters nie przejmowałby jego się kosztami – to przecież ja za nie zapłaciłem. Pewnie po prostu nie chce mu się obliczyć korekty kursu”.

Zdecydował, że pomimo wszystko, pilot ma rację. Tremont mógł sobie latać dookoła, ale za dwie godziny, kiedy znowu zbliży się do najbliższego punktu orbity, będzie już za późno. Będzie już za blisko wyczerpania posiadanego powietrza, żeby mógł go użyć do pokonania kilku ostatnich stóp.

Popatrzył na ściskany w rękę drażnek. To był ośmiostopowy aluminiowy kawałek mocowania ładunku.

— Być może... — wymruczał.

Kręcąc wokół siebie trzymanym za koniec drażnikiem, udało mu się, po kilku próbach, spowolnić gwałtowne wirowanie swego ciała na tyle, by móc przez cały czas widzieć statek.

Potem pozostała już tylko jedna kwestia – czy ośmieli się podjąć ryzyko; ale naprawdę, nie miał innego wyboru. Wykonanie pełnego okrążenia po orbicie wokół statku, zabrałoby zbyt wiele czasu.

Oszacował jak najdokładniej kierunek swojego lotu, wziął kilkustopniową poprawkę, która powinna łagodnie zacieśnić jego trajektorię ruchu, pozwalając na bliższe podejście do statku w punkcie spotkania, i z całej siły cisnął drażnek w kosmos.

Potem pozostało już tylko czekać i mieć nadzieję, że na tyle mocno udało mu się zredukować swoją prędkość, aby dolecieć do statku przed rozkładem, po krótszej orbicie.

**T**remont w końcu zrezygnował ze spoglądania na zegarek, kiedy stwierdził, że robi to mniej więcej tak co trzy minuty. Ogrom kosmosu zaczął wzbudzać w nim coraz większy psychologiczny chłód, i wciągnął obie ręce do środka skafandra, aby wzmóc w sobie iluzję ciepła. Ciśnienie powietrza w rękawach stopniowo pokonało ich sprężystość i rozłożyło je na obie strony, tworząc kształt krzyża.

O ile był w stanie powiedzieć, obserwując wskazania liczników, ustawionych rzędem na pulpicie na szyi skafandra, system ogrzewania funkcjonował tak, jak powinien. Baterie miały ogromną szansę aby przetrwać dłużej niż on sam.

Zaczął napawać się myślą o zaciśnięciu na szyi Petersa stalowego uścisku rękawic tak, że aż twarz zrobi mu się purpurowa, a oczy wybałuszają się w wysiłku. Kolejną interesującą czynnością byłoby walenie w gródź jedną ręką głową Braigha, zaś drugą – Dorothy.

„Ciekawe, czy znaleźli broń w mojej szafce?” – zadumał się.

W końcu, jedno czy dwa życia później niż miał na to nadzieję, zobaczył ponownie statek. Jego zegarek twierdził, że podróż trwała tym razem mniej niż dziewięćdziesiąt minut.

Napotkał nieoczekiwane kłopoty z podejściem do kadłuba. Zdając sobie sprawę z tego, że przy takiej ilości domysłów w ogóle miał szczęście podlatując do niego tak blisko, próbował sterować swym ciałem przy pomocy krótkich wyrzutów ze zbiornika powietrza i w ostatniej chwili wywinął się od uderzenia w płetwę. Udało mu się tego uniknąć, ale musiał zużyć jeszcze więcej powietrza, żeby wykręcić się i łagodniej podejść do lądowania.

Kiedy chwycił się krawędzi płetwy rakiety i pewnie umocował magnesy butów na kadłubie, dotknięcie metalu wydało mu się lądowaniem na twardym gruncie.

Minęło chyba ze dwadzieścia minut i zaczął już się martwić o swoje zapasy tlenu, kiedy właz śluzy powietrznej zaczął się otwierać.

Buchnęły z niego kryształki zamrożonego szronu, z zawartej w powietrzu pary wodnej. Z włazu wyłonił się hełm Braigha, a potem jego cała okutana w skafander kosmiczny postać wzbiła się do góry tuż przed miejscem z którego obserwował Tremont. Porywacz zrzucił magnes swojej liny asekuracyjnej na kadłub i zaczął się obracać wokół siebie.

Tremont złapał się za właz śluzy jedną ręką, drugą szarpnięciem oderwał magnes, a potem kopnął Braigha we właściwe miejsce.

Postać w skafandrze wystrzeliła w kosmos, kręcąc się na łeb na szyję. W odbiorniku Tremonta rozległo się zaskoczony skrzeknięcie.

— Teraz sobie zobaczysz, jak to ci się będzie podobało! — warknął Tremont.

Zignorował błagania nagle przerażonego głosu i zanurkował do wnętrza śluzy powietrznej. Po kilku sekundach zamknął już zewnętrzny właz i nerwowo obserwował na mierniku wzrastające ciśnienie.

„Jeśli w ogóle cokolwiek zauważyli, pomyślą sobie, że to Braigh wraca do środka! — cieszył się w myślach.

Przedostał się do szybu centralnego, nikogo nie napotykając. Posuwanie się do przodu w obszernym skafandrze było trudnym zadaniem, ale warto było pocierpieć, aby zobaczyć wyraz twarzy Petersa, kiedy Tremont wpadł przez właz wejściowy sterówki.

Po tym, jak poradził sobie z pilotem w ciągu mniej więcej dwóch minut, z czego większość czasu zajęło złapanie go, Tremont powędrował z powrotem szybem i znalazł Dorothy leżącą w swojej koi. Zanim zdążyła rozpiąć siatkę uprząży złożył koję razem z nią i zapiął ją na haczyk. Dopiero wtedy pozwolił sobie na poświęcenie chwili czasu na zdjęcie z głowy hełmu i zaczerpnięcie pełną piersią powietrza ze statku.

— Co masz zamiar zrobić? — dopytywała się dziewczyna dosyć piskliwym głosem.

Tremont zdał sobie sprawę z tego, że musiała zobaczyć unoszącego się na zewnątrz, w szybie, nieprzytomnego Petersa.

— Na pewno ci się to nie spodoba! — obiecał jej.

— Tremont! Ja nie wiedziałam, że oni coś planują zrobić. Czy... ty i ja... nie moglibyśmy jakoś się dogadać?

Tremont popatrzył na nią spokojnie.

— Ale ja przecież muszę kiedyś spać — zauważył delikatnie. — Jakże mógłbym ci zaufać...?

**Z**najdował się już zaledwie milion mil od układu satelitarnego Centauri VI, kiedy wezwany przez niego statek Patrolu Kosmicznego dostarczył na pokład *Annabel* pilota, który miał ją wylądować na największym księżycu.

Tremont wrócił ze zmęczeniem ze służby powietrznej, w której pomagał pilotowi – co zrobił z wypraktykowaną sprawnością, jaka zaskoczyła jego gościa – aby podjąć dalszą rozmowę z kapitanem statku patrolowego, czekającym ciągle na ekranie.

— Moglibyśmy zrobić to znacznie wcześniej, jak pan wie — powiedział jego rozmówca z ciekawością. — No cóż, teraz kiedy widzę już mojego człowieka u pańskiego boku, może wyjaśni pan swoją prośbę o opóźnienie, a także co to za blotki się za panem ciągną.

— To akurat jedna i ta sama historia — odparł Tremont i opowiedział o swoich kłopotach.

Kapitan patrolowca zmarszczył brwi i stwierdził, że szkoda iż nie może dostać porywaczy w swoje ręce.

— No cóż, zgodnie z rozkładem powinni pojawić się z powrotem — Tremont popatrzył na swój zegarek — za mniej więcej dwie godziny. Chciałem, żeby znajdowali się w pobliżu przeciwległych krańców swych orbit, kiedy będzie pan podchodził.

— Chce pan powiedzieć, że to te trzy ciała tam w kosmosie?

— I to żyjące, w swoich skafandrach — oznajmił Tremont. — Doświadczenie to wielki nauczyciel. Zaraz jak tylko spostrzegłem, że Braigh wraca, utworzyłem z nich regularny układ.

Wyjaśnił, że usunął wszystkie narzędzia z trzech skafandrów, założył dodatkowe zbiorniki, władował do nich całą trójkę, czy to nieprzytomnych, czy to trzymając ich na muszce pistoletu.

— Potem ze związanymi razem kostkami i nadgarstkami przywiązanymi przewodami do ud, żeby nie mogli się ruszyć, wyrzuciłem ich po kolei w kosmos, w odpowiednich odstępach czasu i z takim ciśnieniem powietrza w śluzie, aby weszli na czterogodzinne orbity. To dało mi czas na sen.

— A co z nimi? — spytał kapitan.

— Och, na koniec tego okresu, zaczęli nadlatywać w godzinnych odstępach. Odliczając niezbędne operacje, każde z nich miało trzydzieści minut na to, żeby wyjść ze skafandra, coś zjeść, i tak dalej. Potem wyruszali dalej, podczas gdy ja wyłapywałem następnego w kolejce.

— Pomyślmy... — zadumał się kapitan. — Z każdych czterech godzin musiał pan poświęcić... no tak, tylko dwie godziny na przetworzenie ich wszystkich. W wyniku tego utrzymywał pan pełną kontrolę i wystrzeliwał ich dalej, tworząc własny system satelitarny, krążący wokół pana.

Po chwili dodał:

— A pańscy przyjaciele? Jak oni spędzali czas?

— Hmmmm, pewnie próbując wymyślić, jak mnie dopaść następnym razem — domyślił się Tremont. — Albo modląc się, żeby poruszali się po bardziej uczciwych kółkach!

KONIEC